

Spadały gwiazdy

Deszcz lał z ołowianej chmury w taki sposób, że na to, co widziałem, nie da się wymyślić lepszego określenia niż polskie „sikawica”. Szedłem boczną granią Czergowa przez mokrą trawę do kilkumetrowego chrześcijańskiego krzyża, osadzonego bezpośrednio na głównym grzbiecie ostatniego słowackiego jodłowo-bukowego Mohikanina. Na grzbiecie obok krzyża rozgrywało się przyrodnicze piekło. Pajęczyna do białości rozżarzonych błyskawic wytworzyła w sikawicy taką zasłonę, której nie powstydziliby się twórcy „Matrixa”.

Wyszedłem aż na główny grzbiet. Wiedziałem co prawda, że zdany egzamin, który wpisany mam w indeksie z mojej „alma mater” FEL ČVUT w Pradze, pod egzotyczną nazwą „Wyładowania wysokiego napięcia”, mnie nie ochroni, ale zastanawiałem się, czy iść do góry, czy schodzić w dół w połowie burzliwej pogody i czy ma to jakieś znaczenie.

Niewyraźnie przypomniałem sobie, że błysk to wyładowanie atmosferyczne, które wyrównuje ładunki różnego napięcia między chmurami lub między chmurą a ziemią. Jeszcze pamiętałem, że błysk charakteryzuje się wyładowaniem z wielkim impulsem prądu, tak do 200 kA.

Znalazłem się obok krzyża, na którym jego wykonawcy, nikomu nie dowierzając, zamontowali piorunochron. Nie uspokoiło mnie to.

Przy bezpośrednim uderzeniu pioruna ten piorunochron odprowadzi do ziemi tylko część prądu, zwykle jego połowę. Pozostała część prądu rozłoży się równomiernie pomiędzy mnie i kilka pobliskich drzew. 100 kA oczywiście nie przeżyje, nawet w przypadku, gdyby ten prąd podzielił się na cały las.

Dzwoni mi komórka. Może są to jej ostatnie chwile, więc odbiorę.

- „Mam to CD!”. Nie zrozumiałem.

- „Jakie CD?”.

Nieustannie obserwowałem pioruny uderzające coraz bliżej mnie. Chciałem zniknąć z tego piekła, ale telefon w ręce, uporczywy hałas, mokre okulary, Skukam miotający się pomiędzy nogami, gdzie szukał schronienia, nie pozwalały mi na to.

- „Jacques Brel, nie pamiętasz?”. Przypomniałem sobie, że koleżankę poganiałem od jakiegoś czasu w kwestii „Best of...” francuskiego piosenkarza Jacquesa Brela.

- „Jest na niej »Ne Me Quitte Pas«”. Trzask, głos w telefonie zniknął w wyniku burzowego uderzenia. Ostatni piorun uderzył sto metrów ode mnie.

„A są »Amsterdam« i »La Chanson des Vieux Amants«?”.

- „Zobaczę” - koleżanka w ciepłym sklepie w Koszycach nie miała takich problemów jak ja.

- „Tak, są”.

- „Kupuj i kończę...” - szybko wyłączyłem przemoczoną komórkę i popatrzyłem na niebo w asfaltowym kolorze.

Gdzieś w dali było widać małe jasne linie uderzających piorunów. Burza, która przysłała tak szybko

jak nie pamiętam, odeszła jeszcze szybciej i na horyzoncie zastąpiła ją czergowska tęcza.

Wieczorem, gdy zasypiałem między borówkami, pod wielką jodłą, zaczęła obok hukać sowa. Spod dolnej krawędzi igliwia zobaczyłem plejady gwiazd, które zaczęły spadać.

Jedna, druga, trzecia, trzydziesta... Tego jeszcze nie widziałem, takiej powodzi meteorytów jeszcze nie przeżyłem, choć pod gołym niebem spędziłem sporo pięknych nocy. Szybko wymyśliłem, co życzyć i komu. Rozmyślałem tak intensywnie, że się zmęczyłem i zasnąłem.

Śniło mi się, że na skalistym nawisie stoi francuski piosenkarz Jacques Brel, gra na akustycznej gitarze „Ne Me Quitte Pas” a pod nim rozpościera się ogromne morze jodeł i buków, ciągnące się aż po horyzont i nieprzerywane drogami, elektrycznymi słupami i budynkami, a za tył sceny robi pomarańczowy zachód słońca.

I rano obudziłem się w takim lesie.

Juraj Lukáč

Tłumaczenie: Anna Patejuk

Tekst pochodzi z internetowego bloga, który autor prowadzi pod adresem jurajlukac.blog.sme.sk na zaproszenie słowackiego dziennika „SME” (sme.sk). Przedruk za zgodą redakcji „SME”.